
ZOFIA HELWING

A WOKÓŁ KAZACHSTAŃSKI STEP...

Homo Homini lupus est.

Czy zawsze człowiek człowiekowi jest wilkiem? Na pewno nie zawsze, i to rodzi nadzieję, że kiedyś ludzie całego świata staną się przyjacielscy, wyrozumiali i tolerancyjni, wspomagający się nawzajem... ale bywają takie okresy w różnych geograficznych częściach świata, że te straszne słowa stają się prawdą zrodzoną przez wzgardę do człowieka.

W tym właśnie przerażającym okresie znaleźliśmy się, pod przymusem deportacyjnym, w tej części świata, gdzie wzgarda dla człowieka i wszechobecny strach była codziennością, gdzie zapadały wyroki bez sądu a śmierć dzieliła się na natychmiastową – strzałem w tył głowy – lub rozłożoną na lata ciężkiej katorgi w łagrach, w licznych miejscach przymusowej pracy rozsianych po rozległych terenach ZSRR.

Strach noszący w sobie cechy wilcze. On coś wie, ale boi się mówić, a zapytany najczęściej odpowiada, i to rozglądając się wokół ... „nie znaju” – nie wiem. Odpowiada tak, gdyż nie jest pewien tego w jakim celu pytanie zostało skierowane, czy nie ma w nim ukrytej myśli. I tak utarło się powiedzenie, że wokół nas to same „nieznajki”, to znaczy ci, którzy nigdy, niczego nie wiedzą, bo tak jest bezpieczniej.

Strach. Tym strachem była również ogarnięta młoda pracownica Ambasady Polski w Kujbyszewie, dokąd przybyliśmy jesienią 1942 roku, jadąc przymusowo do Azji. Zadaliśmy proste pytanie... „dlaczego”? Dlaczego nas Polaków, zwolnionych z łagrów jesienią 1941 roku na mocy układu między rządem Polski w Londynie a rządem ZSRR w Moskwie, ponownie deportuje się do Kazachstanu? Nie odpowiedziała, a proszona o umożliwienie kontaktu z Sekretarzem Ambasady, który na pewno będzie znał odpowiedź, wyjaśniła, że chwilowo jest nieobecny. W zamian za odpowiedź na pytanie dlaczego, ofiarowała nam konserwy z końskim mięsem, słodkie mleko w puszkach oraz różną odzież a nawet mundury angielskie i starała się być bardzo serdeczną i gościnną, ale nam wydawało się, że jedynym pragnieniem tej młodej osoby jest jak najszybciej

sze pożegnanie nas i nie dopuszczenie do ponownego zapytania – dlaczego – a widoczny w jej oczach strach stawał się coraz większy.

Bała się, dlaczego? Czyżby i jej groziła ponowna deportacja? Co zawiśło nad Polakami? Nie znaleźliśmy odpowiedzi, nie dysponowaliśmy żadnymi wiadomościami ponieważ na żaden list kierowany do Ambasady nie otrzymaliśmy odpowiedzi, mimo niezbyt dużej odległości jaka nas dzieliła z Kamyszyna i sąsiadujące kołchozy z Kujbyszewem, dokąd ślaliśmy listy, od momentu przyjazdu z północnego archangielskiego łagru w październiku 1941 roku. Nie zadawała nas ta wielka darowizna, choć była wielce potrzebna, gdyż pragnęliśmy nie tylko wiadomości, lecz wsparcia duchowego, umocnienia nas w nadziei, że Polska o nas pamięta i w każdej sytuacji będzie z nami. Uzyskaliśmy natomiast odpowiedź na nie zadane pytanie, ale jakże okrutną i złowieszczą, że mając kartę deportacyjną do Kazachstanu musimy jak najszybciej wykonać to polecenie, choć już nie pod bezpośrednim nadzorem NKWD, jak to było w roku 1940. I w tym momencie odczuliśmy wokół siebie niewidzialną, zaciskającą się pętlę ponownego, strasznego zniewolenia i wielkiej niepewności i to nie tylko naszej, ale tej urzędniczeki z Ambasady Polski.

Baliśmy się czerwonej władzy i drogi ku zbliżającej się Azji, zapisanej w naszej pamięci zesłaniami dziadów walczących o niepodległość Polski. Czelabińsk. Przesiadka. Udajemy się w kierunku Kustanaj – Karaganda. Przypatrujemy się pasażerom, których bilety sprawdzane są przez bardzo uważne konduktorki. Wszystkie miejsca objęte są rezerwacją – miejscówkami. Uciekinierzy z europejskiej części ZSRR pokrzykują donośnie, z jeszcze większym hałasem zajmują wyznaczone miejsca, kłócąc się o każdy wygodniejszy kątek, a szczególnie o górne półki, najwygodniejsze przy długich przejazdach. Są i inni pasażerowie, którzy wzbudzają w nas szczególne zainteresowanie. Wchodzą, mimo tłoku, wręcz majestatycznie, spokojnie i cicho. Mężczyźni wchodzą pierwsi, ich twarze są poważne, nieprzeniknione. Za nimi wsuwają się, jest to bardzo dobre określenie, bezszelestnie kobiety. Mężczyźni ubrani są w długawe kapoty samodiałowe o brunatnej barwie, głowy zdobią ogromne futrzane czapki z kolorowym denkiem, nie zdejmowane w wagonie, a na lekko krzywych nogach mają miękkie buty o długich cholewach. Kobiety ubrane są bardzo kolorowo w długie spódnice, spod których wystają nogawki ni to spodni, ni to szarawarów, ładne, bogato wyszywane serdaki, kolorowe chusty spadające na ramiona, obwieszane naszyjnikami wykonanymi ze srebrnych monet o różnej wielkości. Włosy, tak jak mężczyźni mają kruczoczarne, długie, splecione w liczne i cienkie warkoczyki. Bez słowa zajmują miejsca wskazane im przez mężczyzn. Przyglądamy się uważnie. Tak konduktorka, jak i ci „inni” mają lekko skośne oczy, trochę wystające kości policzkowe, trochę spłaszczoną twarz i są mniej jak średniego wzrostu. Azjaci! Rdzenni mieszkańcy tych ziem za Uralem, dokąd i my podążamy. Narasta gwar w dużej grupie uciekinierów. Słychać płacz dzieci. Pociąg rusza. Rozpoczynamy rozmowę, kątem oka patrząc na bliskich sąsiadów z ław i górnych półek. Milczą. Siedzą patrząc przed siebie, a ich spojrzenie nic nie mówi.

Za oknami pofałdowana równina. Nie widać drzew ani krzewów, ale ta zdawało by się martwa, pofałdowana równina, rusza się. Coś pędzi, przybliża się do torów i znów się oddala. Jedna kula, dwie, jest ich coraz więcej. Pędzą z pociągiem w zawody, toczą się złocistym kłębkami i nagle zatrzymują się i widać badyle wysokie, jak stojący w brąz zakuci rycerze, powodując, że teren który wydawał się monotony i płaski, zdaje się opadać i wznosić, a może faktycznie opada i wznosi się nierównościami terenu? Głośno wyrażany swój zachwyt, czym zwracamy uwagę sąsiadów, zajętych do tego czasu sobą czyli milczeniem. Teraz wyraźnie zajęli się nami. Patrzą uważnie, taksują nas wzrokiem i dalej milczą. A my gadamy. Staramy się zgadnąć z czego są te pędzące kule i jaka roślina przeradza się w rycerzy. Nagle wyrasta przed nami mała postać skośnookiego staruszka zagadującego... – Twoja nie Ruśki? – a pytanie wyraźnie jest skierowane do młodego Mirka.

– Nie! Ani moja, ani nasza nie być Ruśki – odpowiada spokojnie.

Na pewno ta rozmowa potoczyłaby się dalej, gdyby nie to, że z ławki sąsiadów zrywa się młody człowiek i przysiadając do Mirka wciska mu kawałek papieru prosząc – napisz coś, napisz po swojemu! Zdziwiony Mirek trzyma kartkę zastanawiając się, co napisać, gdy szybka jak zawsze Mańka chwyta ołówek i pisze dużymi literami: jesteśmy Polakami. Młody zabiera kartkę i biegnie do swoich wraz ze staruszkiem. Pochylają się nad kartką, coś szybko mówią dziwnie brzmiącym językiem. Po chwili podrywają się i młody i staruszek i jeszcze kilku mężczyzn, starając się zmieścić między nami, a staruszek woła – wy nasi..., wy swoi!

Właściwie w podróży można wszystkiego się spodziewać, nowych znajomości, nowych przygód, ale żeby Azjaci mówili do nas, że jesteśmy s w o i, tego już było za wiele. Nasze zdziwienie było wymowne. Głos zabrał staruszek i ten młody Kazach. I tak słowo po słowie, dowiedzieliśmy się, że nasz alfabet łaćński, to dawny, przed wprowadzoną cyrylicą, alfabet Kazachów, jakim posługiwali się dziadowie, a czasem nawet ojcowie. Słuchamy uważnie starając się zrozumieć o co chodzi tym miłym Azjatam, tak opanowanym, a teraz tak poruszonym. Chcąc upewnić nas w swych wypowiedziach piszą jakieś słowa podsuwając Mirkowi oraz dodając, że nasze języki na pewno różnią się między sobą, ale słowa pisane są takimi samymi literami. Kiwamy ze zrozumieniem głowami. Rozumiemy się bez słów i to właśnie podkreśla staruszek dodając, że chociaż nasze języki są różne to jednak jesteśmy braćmi, mamy takie same dusze i na pewno te dusze spotkają się razem tam..., a kończąc pokazuje błękit nieba za oknem. Widocznie uznał stary Kazach, że wszystko już zostało powiedziane, gdyż uniósł się, podszedł do górnej półki zajętej przez kobiety i ściągnął skórzany bukłak. Wyraźnie zadowolony podszedł do pana Michała, najstarszego z naszej grupy, wyjął skórzany czopek, podniósł bukłak do ust, pociągnął a następnie podał naszemu, jak uznał, przywódcy.

Bez mrugnięcia powieką pociągnął pan Michał i oddał gajowemu Stanisławowi, by ten z kolei podał Mirkowi, a Mirek po głębokim połknięciu nieznanego płynu, podał bukłak młodszemu Kazachowi. Kilka razy pociągali, wykluczając naturalnie kobiety, na które nawet nie spojrzeli. Byłam pewna, że popijają kumys – znany jedynie z kart czytanych opowieści.. ale jednak znany. A potem rozpoczęły się opowieści przekazywane przez naszych mężczyzn a następnie Kazachów. Interesowali się wszystkim, wiedząc, że teraz w Polsce jest Germaniec a my jesteśmy w niewoli. Ale najdziwniejsze w tych opowieściach było to, że oni siebie również uważali za ludzi pozbawionych wolności własnego kraju a Rosjan traktowali jak okupantów. Stwierdzali, że jesteśmy ubożsi, gdyż kraj nasz nie posiada stepów, które w nas wzbudzały załęknienie. Wiedzieli, że Polacy kochają konie, tak jak oni i że na naszych pastwiskach wypasają się owce, trochę inne od miejscowych.

Gdy już wiedzieliśmy wiele o sobie, Kazachowie zainteresowali się dlaczego tułamy się po obcym kraju i dlaczego jedziemy do Kazachstanu. Smutna to była opowieść, poczynając od września 1939 roku, kończąc na deportacji w roku 1940 i katorżniczej pracy w łagrach, aż po dzień nadziei, dzień amnestii i układu Sikorski – Majski. Zastanawiali się Kazachowie dlaczego nasze władze są w obcym kraju i tam walczą, a dlaczego nie na miejscu, we własnym domu i zaraz dodawali, że oni nie opuszczają swojego kraju, że męczą się, są przepędzani z pastwisk, które wiekami należały do nich, oraz są zapędzani do kołchozów i zmuszani do zmiany bycia i życia. Ale są i stepów nigdy nie opuszczają, dodając natychmiast: „chyba że pod przymusem, jak wy!...”

Doradzali nam albo pozostanie w Atbasarze, dokąd mieliśmy nakazany wyjazd i zameldowanie się w NKWD albo też udanie się do kołchozów, gdzie zawsze jest trochę więcej artykułów żywnościowych, uprzedzając jednak, by starać się o wyjazd do kazachskich kołchozów, a nie kołchozów tzw. odszczepieńców (odszczepieńcami nazywali dobrowolnych osadników z czasów carycy Katarzyny II Wielkiej, kiedy to Rosjanie i Ukraińcy przyjeżdżali i otrzymywali duże nadania najlepszych ziem, położonych nad rzekami, źródłem życia w suchym Kazachstanie. Nie odradzali natomiast pobывania między przesiedlonymi w latach trzydziestych również Rosjanami a nawet Polakami, o czym wyraźnie powiedział staruszek. – To dobrzy ludzie. Dużo przeszli. Żyją z nami w zgodzie – zakończył – i natychmiast dodał, że nadszedł czas na posiłek.

Jak zawsze szybka Mańka zeskakuje z półki z węzełkiem w rękę i biegnie do konduktorki, w której służbowym przedziale mieści się podręczna kuchenka. Po chwili zapach angielskiej dobrej herbaty, podarowanej nam w Ambasadzie, wije się między półkami, a dodać wypada, że herbata jest wielkim rarytasem u Kazachów. Mirek starannie kroi puszkowe końskie mięso, też o smakowitym zapachu, a stary Kazach końcem kindżału wskazuje na kawałki i pyta – *czuszka?* (wieprzowina) – nie! konina – szybko odpowiada Mirek, zapraszając do poczęstunku. Częstują

się mężczyźni a kobiety, tak nasze jak i sąsiadki, przygotowują przy pomocy konduktorskiej kuchenki obiad.

Pociąg pokonuje kilometry, zatrzymuje się na stacjach. Wsiadają jedni, wsiadają drudzy i tak powoli zniknęli europejscy Rosjanie a ich miejsce zajęli skośnoocy Kazachowie. Nas, a właściwie mnie, męczy pytanie, czy ta duża grupa, już z nami zaprzyjaźniona to rodzina? a jak rodzina, to gdzie mieszka? może w Atbasarze? Proszę pana Michała o pomoc w rozwiązaniu zagadki. I tak dowiadujemy się, że w pojęciu Tego, co jest nad nami, to cała grupa, ba, nawet ci obecni w wagonie, to wielka rodzina Kazachów. ale staruszek doskonale wie, że pytamy o poznanych towarzyszy podróży. I tak dowiadujemy się, że młode kobiety to córki, młodzi mężczyźni to zięciowie, a kolejni, również biorący udział w rozmowach, to kolchoźnicy spod Buchary. Wszyscy jadą do Akmołańska (obecna Astana – stolica, poprzednio Akmoła) by tam przesiąść się i jechać dalej, jedni na Pawłodar, inni na Karagandę. Szkoda, że droga nasza dobiega kresu. Zbliża się Atbasar.

Żegnamy miłych znajomych, żegnamy jak przyjaciół, żegnamy ludzi, którzy przybliżyli nam duszę Kazachów, wyciszyli lęk przed nieznaną Azją, dali wskazówki rozpoznawania ludzi. Atbasar. Mała, drewniana, nieprzytulna stacyjka. (Z uwagi na przyjazd pociągu w poczekalni, przy pustym bufecie można zaopatrzyć się w *kipiatok* – wrzątek wydawany bezpłatnie.) Obowiązkowe zameldowanie przybycia grupy zesłańców w miejscowym NKWD i uzyskanie zgody na przemieszczenie się do pobliskiego kolchozu.

Wieś jak wieś, a jednak inna. Nie ma w niej radości i krasy wsi nadwożańskiej. Nie ma kolorowych ogródków przed domami, nie ma ścian kolorowych upiększanych przez wiejskie dziewczęta malowanymi z kolorowej gliny. Chaty otoczone są płotami, które sięgają wysoko, podtrzymując na sobie płaskie dachy. Nawet poszczekiwanie psów nie wydaje się wesołe.

Przewodniczący kolchozu szybko rozdziela przybyłych robotników do poszczególnych chat, oznajmiając gospodyniom, że nakazem wprowadza sublokatorów – robotników kolchozowych. Gospodynie nie są tak radosne jak na Powożu. Owszem, nawet pytają, ale bardzo powściągliwie, z zaleźnieniem rozglądając się wokół, a same bardzo niechętnie mówią o sobie. Mężczyzn prawie nie widać pod żadnym dachem. Zostajemy oprowadzeni po gospodarstwie, które składa się z kilku owiec, gęsi, kur i koguta. Na pytanie dlaczego to wszystko mieści się pod wspólnym dachem nie dopuszczając świeżego powietrza do domowej sionki, uzyskujemy krótką odpowiedź, że gdy zadmie albo piachem, albo co gorsza śniegiem i mrozem, to nikt nie myśli o świeżym powietrzu, gdyż ogólny dach chroni nie tylko ludzi i ich domostwo, ale również bydło.

Temperatura gwałtownie spada, zaczyna sypać śnieg sypki, igiełkowy, a wiatr wciska mróz odczuwany aż do kości a my odczuwamy do-

broć osłoniętych dachem podwórek i zapoznajemy się z *kiziakiem*” jedy-
nym paliwem na stepie, sporządzonym z krowiego (przeważnie) łąjna z
dodatkiem stepowej roślinności, które przygotowują kołchoźnicy od wio-
sny do jesieni. Łajno zbierane przez całą zimę i inne dni miesza się z su-
chymi, stepowymi roślinkami a następnie po dodaniu wody ugniata się
bosymi nogami aż do otrzymania jednolitej konsystencji. Następnie wy-
rabia kostki ustawiane na ziemi i suszone przez bardzo mocne letnie
słońce. Wysuszone, zostają ułożone w przewiewne przyzmy w najdalszym
kącie podwórza, odgrodzonym przed inwentarzem łąjącym wszędzie, za-
bezpieczonym dachem przed wpływami atmosferycznymi. Podpałką do
tego niecodziennego paliwa są kruszynki łąjna cielecego, które zapalają
się natychmiast i palą jasnym, niebieskim płomieniem jak spirytus, zaj-
mując ogniem układane ostrożnie *kiziaki*.

Praca staje się coraz cięższa. Monotonne i niedostateczne odżywianie
wpływają coraz bardziej na osłabienie organizmu. Z trudem porządkujemy
stajnie, obory i zagrody z owcami i z wielką obawą wyruszamy saniami w
step po słomę, gromadzoną w ogromnych stogach. Obawa ta rodzi się z
dwóch powodów. Osłabieni chętnie siadamy na sanie a wówczas może nam
grozić zamarznięcie, a więc czuwamy i wleczone przy wołach lub ko-
niach. Drugim powodem jest spotkanie ze stepowymi wilkami, które w zi-
mie przeważnie kończy się rozszarpaniem tak ludzi, jak i zwierząt, przed
którymi ostrzega matka naszej gospodyni, która pod nieobecność córki bar-
dzo chętnie z nami rozmawia. Dzięki jej szczerości dowiedzieliśmy się, że
mieszkamy we wsi ukraińskiej, tak zwanych „odszczepieńców”, przed któ-
rymi ostrzegli nas zaprzyjaźnieni Kazachowie z wagonu.

Opuszczamy niegościnnie kołchoz i ponownie meldujemy się w
NKWD, otrzymując przydział nie tylko pracy, ale i przydział kąta pryczy
w baraku, zasiedlonym przez Polaków jeszcze w lutym 1940 roku. Na-
rzekają na życie, ciężką pracę i niezbyt przyjazne, a często złe, stosunki z
miejscową ludnością – Kazachami. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej
wrogości, a nasi sąsiedzi barakowi kładą to na karb wielkiej hardości
tego narodu. Niedostateczna (jak zawsze) ilość przydziałowej żywności
zmusza do poszukania możliwości zamiany ubrania, bielizny itp. na
mąkę, suchary, może mleko, ale nasi sąsiedzi odradzają, gdyż Kazacho-
wie nie wchodzi w żadne układy, czy też rozmowy z zesłańcami. a żyw-
nością dysponuje tylko ludność miejscowa, to jest Kazachowie.

Przy niskim płocie moja mama życzliwie pozdrawia młodą Kazasz-
kę prowadzącą za rękę chłopaczką w wieku ok. 10 lat, dodając, że dziec-
ko na pewno idzie ze szkoły i że mama jest nauczycielką, więc chętnie
chciałaby porozmawiać na temat poziomu nauczania. Kazaszka wyraźnie
jest zdziwiona, lecz grzecznie odpowiada i po sekundzie wahania zapra-
sza nas do zabudowania. Aromatyczna herbata, bardzo dawno nie pita,
doskonałe małe, pszenne placki i... rozmowa, rozmowa... na tematy
szkolne i na tematy życiowe i wreszcie pytanie „skąd jesteście i kim je-
ścieście...” Zdziwienie pogłębia się, gdy młoda kobieta dowiaduje się, że

jestemy Polakami zesłanymi z naszego kraju do obozów przymusowej pracy rozsianych po licznych krajach ZSRR. Przyznaje, że Kazachowie uznawali Polaków za Rosjan, którzy za różne przewinienia dokonane w europejskiej części ZSRR zostali zesłani do Kazachstanu i automatycznie traktowali jak wrogów, wiedząc od pokoleń, że ich Wielki Kazachstan znalazł się w niewoli za sprawą Rosjan, wraz z narzuconym, obowiązującym językiem rosyjskim, którym również posługiwali się Polacy. Nie pytana zaczyna opowiadać o doli Kazachów jeszcze w XIX wieku i ich przyjaźni z polskimi zesłańcami, wymieniając jednym tchem kilka nazwisk, jak: Cezarego Tarajewicza, w latach 1873-1889 lekarza powiatowego w niedalekim Akmolińsku, sędziego Makowieckiego, który w Semipałatyńsku był nie tylko sędzią powiatowym, ale współpracował z Kazachami w pracach badawczych nad kazachskim prawem zwyczajowym, przyczyniając się do kulturalnego i politycznego rozwoju ludności miejscowej, z którym współpracował Seweryn Gross – zesłaniec z Iszumu, a następnie z Semipałatyńska, jako groźny przestępca polityczny i wielki przyjaciel miejscowej ludności, czego dowodem była wielka przyjaźń z Abaj Kunanbajem – wielkim kazachskim krzewicielem oświaty i poetą, którego muzeum znajduje się w Semipałatyńsku i gdzie wśród przyjaciół Abaja wymienia się Polaków i politycznego zesłańca Seweryna Grossa, goszczącego w aule poety.

Na pożegnanie młoda Kazaszka wręcza mamie kilka pszennych placków zawiniętych w czystą lnianą ściereczkę, małej woreczek mąki i kawałek baraniny zawiniętej w gazetę, prosząc by przyjęła ten gościniec jako Polka – zesłanka, potomek przyjaciół Kazachów w XIX wieku, dodając, że zawsze będziemy mile witanymi gośćmi a gdy zechcemy coś wymienić na żywność, to chętnie to uczyni. Jedno serdeczne słowo, jedno pozdrowienie dokonało cudu pojednania dwóch różnych narodów zjednoczonych wspólnym zniewoleniem.

Żegnamy się z zaprzyjaźnionymi rodzinami Kazachów, podążając do kolejnej, wyznaczonej pracy na 76 Rozjazd przy budowie tamy na rzece Iszym. Wprowadzamy się do budowanych własnymi rękoma ziemianek ustawionych bokiem do rzeki, ze ścieżką prowadzącą do wody, na której w promieniach ciepłego, wiosennego słońca, każdego ranka leżały pokotem żmije wygrzewające swe zygzakowate cielska, bez najmniejszego zamiaru atakowania przechodzących ludzi. Wręcz odwrotnie, uprzedzona głośnym szorowaniem stóp po piachu, powoli wpełzała w stepowe rośliny stając się niewidoczną, a zatem groźną w momencie nadeptnięcia, skręcając się jak sprężyna i wbijając jadowite zęby w nogę, przy żadnej pomocy medycznej, gdyż surowicy nie posiadał tzw. punkt sanitarny, który dysponował jodyną i bandażem.

Praca przy tamie nabiera rozmachu i wzrasta zapotrzebowanie na ciężarowe samochody, ale maleje liczba szoferów powoływanych do wojska – na front, gdyż jest to wiosna 1943 roku, wielka kontrofensywa w działaniach frontowych. Zielenieje kazachstański step, puszysty dywan

z milionami kolorowych tulipanów i innych kwiatuszków i ziół. Szybkie szkolenie kierowców, zdany egzamin i przydział małej ciężarówki o miłej nazwie Gaz 2A splótł się z przyjazdem z Moskwy na 76 Rozjazd ekipy geodetów, specjalistów od wielkiej, zaplanowanej na długie lata pracy przy nawadnianiu suchych, kazachstańskich stepów. Na czele ekipy rudy jak wiewiórka inżynier, mały i brzydki a jednocześnie tak sympatyczny, że podbił serca wszystkich bez wyjątku. Siergiej Aleksandrowicz Jakowlew po prostu kochał ludzi. Starszych pytał o zdrowie, maluchów brał na ręce a dla młodzieży miał setki pomysłów: a to łowienie ryb, a to nauka pływania w zakolu rzeki, to znów polowania na stepowe susły lub nauka śpiewania.

Temu człowiekowi i tej ekipie zostaje przydzielona, wraz ze mną, mała ciężarówka GAZ 2A, w celu rozpoczęcia prac pomiarowych. Jest nas dziesięciu. Siergiej – inżynier i ośmiu chłopaków a właściwie dziadków w wieku 60-65 lat. W szoferce – kabinie Siergiej i ja, w skrzyni ciężarówki „dziadkowie” i sprzęt z aparatami pomiarowymi, latami i innym drobiazgiem. Wyjazdy są coraz dalsze. Często nie wracamy do ziemianek na nocleg. Teraz dopiero poznaję piękno stepu i urok stepowej nocy, gdy księżyc zdaje się być bliski a jego poświata wysrebrza smukłe burzany, pobudzając do ruchu te wiecznie nieruchome, jak martwe, rośliny. W naszych wędrówkach zajeżdżamy do kazachskich aułów, wiosek tubylczych, do chałup ulepionych z rdzawej gliny, niekiedy jurt z wielbłądziej skóry o okrągłym kształcie i dziwnym dachu, gdzie wnętrza wyściełane są wełnianymi dywanami i skórą, na których siedzi się w niewygodnych dla nas, kuckach, przy okrągłym niskim stole. zastawianym natychmiast przez gościnne gospodynie – Kazaszki. Usługują szybko i bezszelstnie. Nigdy nie zasiadają do wspólnej biesiady. Czasami żona lub najstarsza żona, gdyż zdarza się spotkać Kazachów mających jeszcze z dawnych czasów więcej niż jedną żonę, bierze udział w rozmowie. Rzadko pokazują się młode Kazaszki. A jest na co patrzeć. Drobne w budowie, o skośnych oczach, długich czarnych włosach, ubrane bardzo kolorowo i ładnie, w barwne serdaki, długie kolorowe spódnice i pantalony, wystające, osłaniające nogi aż po kostki. Kazachowie są szarawi, odzież wełniana, jednobarwna. Ciemne spodnie, przeważnie golona głowa i cienkie wąsiki. Niekiedy nawet w domu noszą ogromne futrzane papachy, które na pewno skutecznie chronią gołe głowy przed upałem. Są raczej szczupli, choć rozkoszują się jadłem podawanym w dużych, płaskich miskach. Potrawy są wyśmienite. Baranina duszona ze stepowymi ziołami oraz zrzebięcina. Pieczeń z młodego zrzebięcia, przysmak niebywały, podawany tylko w niezwykłych okolicznościach, jakim stało się nasze przybycie, zapowiadające życiodajną wodę. Jest również pieczone jagnię, zabijane specjalnie przy przybyłych gościach, dla podkreślenia, że czyni się to wyłącznie dla gości. Jest kumys, kobyle mleko, specjalnie przetwarzane, poddawane fermentacji, pienne, musujące i orzeźwiające, podawane z bukłaka. Przypominam sobie bukłak w wagonie, gościnnych, przyjacielskich Kazachów i dyskusje starszyny. Ręce myjemy przy stole w poda-

nej przez gospodynię misce. Zmiana potraw odbywa się błyskawicznie. Do mięsa podawana jest *lapsza* rodzaj makaronowego ciasta, lecz nie krojonego jak u nas, lecz rwanego nad kotłem na małe kawałki. Na koniec uczty herbata, niebываły przysmak Kazachów. Na stole samowar, w miseczce kawałki rąbanego cukru a wokół stołu „pijały” czyli czarki – filiżanki bez uszek. Dodatkiem do herbaty są małe placuszki z białej mąki. Nie najedzeni lecz obżarci, rozkładamy się jak zwyczaj każe, na skórach i dywanach popijając małymi łyżkami boski napój. Siergiej Aleksandrowicz, moskwianin z urodzenia, opowiada o stolicy, o ogromnych budynkach i szerokich ulicach, o teatrach, koncertach i salach kinowych.

Nie przerywając słuchają biesiadnicy a gdy skończył gospodarz poprosił o zabranie głosu staruszka, siedzącego na uboczu w kłębach fajkowego dymu, podkreślając, że jego dziad miał przyjaciela ze stolicy Moskwy. Nie przerywając pykania dziad potwierdził, że przyjaciel był ze stolicy Moskwy, ale dodał, że ten przyjaciel był z dwóch stolic, ta druga to była Warszawa. Wywołało to niesamowitą wrzawę i moje wołanie, że jestem Polką i że moją stolicą jest Warszawa. Nie zdziwiło to staruszka, który bardzo uroczyście stwierdził, że Polacy to sławny naród i że było ich tutaj – na Kazachstanie, dużo, zesłańców, katorżników, którzy nadzieją powrotu do Ojczyzny żyli aż do śmierci. Tą nadzieją żyli przez wszystkie dni i nam o tym mówili tak, jak ty to teraz mówisz. Moja matka, trzecia żona mojego ojca, najmłodsza żona mojego ojca a twoja babka Aktybaju – zwraca się do gospodarza – żyła w wielkiej przyjaźni z naszym częstym gościem, poetą. Nazywał się Zieliński, dziwne nazwisko i imię też dziwne, Gustaw, ale ukochał nasz kraj i pisał o życiu Kazachów, o naszej doli i niedoli, o bogatych rodach i biednych niewolnikach, o wielkiej miłości i strasznej śmierci w płonącym stepie. Moja matka, a twoja babka, synu mój, Aktybaju, знаła te słowa, знаła wszystkie i bywało, siądzie tak, jak my teraz siedzimy, pyknie fajeczkę, zaduma się i zacznie:

Jak ptak, co skrzydłem swobodnym płynie,
Lecę w rodzinne moje pustynie.
Witam step z dawna mi niewidomy;
Spotykam wichry, burze i gromy,
Aż wycieńczony od trudów, znoju
Spostrzegam wreszcie – widoku czuły,
Po tylu leciech!... pierwsze auły.
Wpadam, nie pytam, jakiego rodu,
Bo w każdym głosie, stroju, postaci
Poznaję swoich – i jak mych braci
Ściskam, całuję, łza z ocz mych tryska...

– piękniała wówczas twarz mojej matki, rumieniec wypływał na lica i dalej ciągnęła:

Wzdłuż i wszerz przeleć całą pustynię
Od ujść Sir-Darii do Ajaguzy,
Od zapadłego Urgantu w gruzy

Od siedmiu źródeł, skąd Iszym płynie.
 I w całym bujnym stepie Iszyma,
 Równej w piękności Demela nie ma.
 Ani mieć będzie – bo blask jej lica
 Na wdzięk i drugich mrok rzuca taki,
 Jak w noc pogodną pełnia księżycy
 Na koczujących światła orszaki,
 Bo twarz jej, której nic nie ochmurza,
 Sądysz – wśród śniegów rozkwitła róża.
 A gdy jej uśmiech usta rozdzieli,
 To zębki błyszczą tak cudnej bieli.
 Że pereł sznurek zdobiący szyję
 Ze wstydu między piersi si kryje.

– milknie starzec. Dym z fajki otacza go chmurą. Z zamkniętych oczu spływają perły łez.

Podrywam się z miękkiego dywanu. Całuję w żółty, pomarszczony policzek. – Dzięki, stokrotne dzięki za piękny wiersz, za nie znanego polskiego poetę. Za pamięć o Polaku, który tu był i kochał. Jakże inaczej spoglądam teraz na jurte. Na gościnnych Kazachów, na małe Kazaszki znikające jak cienie. Cienie dające natchnienie poetyckim duszom.

Serdecznie żegnani ruszamy w dalszą drogę. Wieczorem dojeżdżamy na brzeg ogromnego jeziora Tengiz. Jeziora porośłego szuwarami i trzcina pełną dzikiego ptactwa. Jeziora pełnego ryb, pluskającego karpia i buszującego szczupaka. Wpraszamy się w gościnę do starego rybaka, którego kurna chata stoi nad brzegiem wody. Przygarnia nas z całą wschodnią serdecznością, pełną uniżenia i pokory dla przybyłego gościa. Kłania się nisko gołą głową, zapraszając do chaty. Tak nie potrafią zapraszać Europejczycy. Taka nie potrafi być biała rasa, mimo całej serdeczności. Tutaj jesteś przyjacielem w momencie przekroczenia progu chaty, jurty czy też obejścia. Nie wolno ci nie przyjąć zaproszenia. Nie zasiąść do wspólnego stołu, bez względu na zasobność gospodarza.

Staruszek Kazach natychmiast odpływa od brzegu w malutkiej łódce, a za chwil parę wraca z koszykiem pełnym karpia, trzymając osobno w siatce okazałego szczupaka. Wprawne ręce patroszą żywe, nie zabijane ryby. W niedługim czasie w kociołku gotuje się smakowita „ucha” – rybna zupa a na patelni rumienią kawałki karpia. Szczupak nafaszerowany ziołami, skropiony olejem dusi się w żarze pod kociołkiem, opakowany szczelnie w łądygi wodnych roślin i glinę. Wyśmienita kolacja nastraja do gawędy a samotny zazwyczaj rybak gada i gada. Już świt różowi wodę a on jeszcze nie wyczerpał rozpoczętego tematu. Dla niego step, ten pustynny, płaski i bezkresny, nieogarnięty step, porośły jedynie suchą ostnicą, w której nie słychać cykania pasikonika ani świergotu ptaszka, jest stepem cudownym, stepem, który śpiewa własną pieśń. Zapatrzony w ognisko opowiada o legendzie, która żyje wśród Kazachów i głosi, że kiedyś cały ten kraj tonął w zieleni i był pokryty lasami. Mówi cicho:

– Pewien Kazach wykradł siekierę Panu Bogu by narąbać sobie drzewa w sąsiedniej dąbrowie. Ale siekiera wyrwawszy się z rąk złodzieja sama zaczęła ścinać stuletnie dęby i inne drzewa. Cały step od Uralu do Tengizu i Aralskiego Morza został ogarnięty pożarem. Zgorzały wsie i miasta. Gdy ogień wygasł na pustyni pozostało tylko jedno drzewo i kolczaste zielsko. To jedyne drzewo rośnie podobno między Orskiem a brzegami Morza Aralskiego. Drzewu temu okazuje się cześć a ono przynosi pomyślność, chroni przed chorobami – kończy Kazach.

– I musi być jakaś prawda w tej legendzie – mówi nasz inżynier – ponieważ znany poemat Szewczenki zaczyna się słowami: „U Boga za drzwiami leżała siekiera...” – A o drzewie samotnym na stepie to mówi się tak:

Samiuteńkie pośród stepu
W dolinie ogromnej
Stoi drzewo wybujałe,
Bóg o nim zapomniał.
Nie dotknęła go siekiera,
Ani z nieba ogień,
Jeno ze stepem pogwarza
O minionej dobie.
I Kajsacy święconego
Drzewa nie ominą,
Sycą oczy jego liśćmi
Jadący doliną.
Modlą się i ofiarami
Proszą je o względy,
Żeby w ich ubogim kraju
Wypuściło pędy.

Z aprobatą kiwa głową staruszek, ciesząc się, że o jego stepie piszą poeci. I snuje dalej barwną opowieść o dawnym stepie i wielkim święcie, zwanym *Bajram*. *Bajram* następuje po wielkim poście trwającym przez cały maj. Na okres wielkiego postu w aulach wygasają ogniska. Przez cały miesiąc nie wolno jeść gotowanej strawy. – Ale za to gdy nadchodzi *Bajram* – ciągnie staruszek poprawiając żar ogniska. – Gdy nadchodzi *Bajram*, zarzyna się barany, młode wielbłądy a nawet źrebięta. To wszystko piecze się, gotuje. Potem odwiedzamy się. Odwiedzamy w aule i między aulami. To wielki *Bajram*! Teraz już nikt takiego *Bajramu* nie obchodzi i nikt nie wygasza ognisk w miesiącu maju – macha ręką. – A o turniejach konnych też się mało słyszy. A przecież nie tak dawno sam w takim brałem udział, i to nie jeden raz. A wesela? Jakie to dzisiaj wesele? Kto dba o to dzisiaj, by nie dopuścić pana młodego do narzeczonej. Nikt. Nikogo to nie obchodzi! Znów macha ręką i poprawia żar. – A dawniej? Dawniej młode mężatki i dziewczyny broniły dostępu i pilnowały. Kto teraz zważa na wysokość *kałymu* – posagu, a czy w ogóle rodzice decydują o ożenku, jak to dawniej bywało? A o *saukele* to już zupełnie zapomniano.

Spoglądamy po sobie. Żyjąc wśród Kazachów poznaliśmy dużo słów z ich języka, ale to jest nam zupełnie obce. – Słuchajcie, dziadku! A co oznacza *saukele*? – ośmielam się przerwać zaległe milczenie. – No, widzicie! Widzicie sami! Gdyby słowo to było w użyciu, na pewno wiedzielibyście co to jest! – jego oburzenie jest tak wielkie, że poprawiany żar rozsypuje się. Iskry rozlatują się po niskiej chacie, dym snuje intensywniejszy. Zaczyna: – *Saukele* jest to wysoki, stożkowaty kołpak z wojułoku pokryty od wewnątrz i z zewnątrz czarnym lub czerwonym sukmem. Ozdobiony złotem, srebrem i drogimi kamieniami. *Saukele* ma na głowie panna młoda podczas podróży do aułu, gdzie mieszka pan młody z rodzicami. Im bogatsze *saukele*, tym bogatsza panna. Moja pierwsza żona była bardzo bogata. Jej *kałym* to sto wielbłądów i złożone *saukele*. Moja druga, młodsza żona, dała mi tylko sto owiec i jej *saukele* było wyszyte tylko srebrem. Moja trzecia żona była jeszcze biedniejsza. Ale to nieważne. Ona była młodsza od mojej pierwszej żony o trzydzieści lat. Jej *kałym* to dwa konie i czerwone *saukele* naszyte tylko perłami, ale za to dała mi jedyną córkę, ukochaną Dżamelę, piękną jak step na wiosnę, a nasza *bajga*, nasza weselna uczta była najpiękniejszą uczta mego życia. To jej wnuk, a syn Dżameli mieszka w Moskwie i pracuje w Instytucie. To oni właśnie chcą, żebym przyjechał do Moskwy. Byłem, ale zostać tam nie mogę. Tam nie ma czym oddychać, tam nie ma stepu. On tego nie rozumie a taki mądry, a ona już zapomniała. Wróciłem tutaj, na rybakę. Tutaj mieszkam przez cały okres letni. Łowię ryby. Odłowione wpuszczam do ogromnych plecionych zagród. Z takiej właśnie zagrody są te nasze, tak szybko złowione. Wystarczy rękę zanurzyć w wodzie i już masz rybę. Przyjeżdżają z mojego aułu po te ryby. I do nich wracam na zimę. Mam swoją jurte. Pustą jurte. Nie mam już żon. Najmłodsza umarła pierwsza, zostawiając malutką Dżamelę. Moją radość. A wy nie chcecie zabrać trochę ryby na tę waszą budowę tamy czy jak to mówiliście? – pyta zmieniając nagle temat. – Chcemy, naturalnie, że chcemy. – No to przy odjeździe przygotujcie miejsce. Damy liści, wyłożymy trzciną, to i dowiezicie jeszcze żywe – radzi.

Ruszamy wieczorem. Chłodniej. Lepiej dla nas i przewożonego towaru. Na Rozjeździe witają nas, a szczególnie przywiezione ryby, które urozmaicają monotony repertuar posiłków naszych kucharek. Niestety. Brak nie tylko pomysłowej Mańki, brak również produktów.

*

Jak bardzo opowiadanie starego Kazacha przybliżyła nam naukowe opracowania Seweryna Grossa – zesłańca z XIX wieku dotyczące kazachskiego prawa zwyczajowego a szczególnie prawa rodzinnego, majątkowego i karnego. Zgodnie z twierdzeniem S. Grossa zawarcie małżeństwa było umową między krewnymi młodej pary i że wola ich obojga nie miała żadnego znaczenia. Wysokość *kałymu* zależna była, jak to opowiedział stary Kazach, od zamożności rodzin i że biedni zadawali się *kałymem* w posta-

ci dwóch koni, a bogaci żądali 100 wielbłądów. S. Gross pisał, że w posagu występowała *żelka* czyli narzutka z czerwonej materii, a *saukele* – wysoki, stożkowaty kołpak z wołoku i jego mniej lub więcej drogocenne przybranie też zależało od bogactwa rodziny, o czym nie zapomniał nasz starszyzna znad jeziora Tengiz. Zgodnie z obyczajem kazachskim rodzice narzeczonej i narzeczony nie powinni mieć ze sobą żadnych kontaktów w okresie swatów. Narzeczony nie mógł towarzyszyć swatom w czasie formalnych pertraktacji a jeśli odwiedził narzeczoną czynił to potajemnie. Pierwsze spotkanie z teściem mogło mieć miejsce przy pożegnaniu, kiedy nowożeńcy odjeżdżali do aulu męża. Przez trzy lata nie było wolno młodemu przyjechać do aulu rodziców młodej mężatki.

Zgodnie ze zwyczajem mężatka przez całe życie powinna kryć się przed ojcem męża oraz spokrewnionymi z nim mężczyznami; mogliśmy sobie tym tłumaczyć zachowanie się kobiet w czasie naszego pobytu w aule. W czasie tzw. konkurów młode kobiety i dziewczęta często wyśmiewają się z podstarzałych swatów i nie dopuszczały narzeczonego do narzeczonej, jeśli nie przyniósł wielu prezentów i nawet z bronią w rękę broniły jurty panny młodej.

Trzeba przyznać, że dopiero prawo rodzinno-mażeńskie wprowadzane przez carat, nie wyróżniające się wielkim humanitaryzmem ani też demokratycznością, było jednak, szczególnie po zniesieniu pańszczyzny, bardziej postępowe niż kazachski – *adat* (prawo zwyczajowe narodów muzułmańskich przeciwstawiane prawu religijnemu – *szariatowi*) co znalazło odbicie również w nowym prawie zwyczajowym, gdzie pojawiły się oznaki szacunku dla kobiety, poszanowania jej prawa do swobodnego rozporządzania swoją osobą, jak również do zawierania małżeństwa według własnego wyboru.

Kończyła się praca na bezkresnym, kazachstańskim stepie. Trzeba było wracać do ziemianki nad rzeką Iszym. Ja – zesłaniec, ja młodociany więzień rzucony w roku 1940 do łagru w głębokiej tajdze, ja amnestionowana i niby wolna, ponownie zniewolona, zesłana w roku 1942 do Kazachstanu, wracałam pełna radości potwierdzającej wspaniałość ludu zamieszkującego ten piękny kraj, ludu przyjaznego i odczuwającego wraz z nami system zniewalający, współczującego nam wygnania z ziemi ojców i dziadów.

*

Zofia Helwing z d. Sawicka (ps. literacki Zofia Tarkocińska). Córka Legionisty Marcelego, deportowana wraz z Matką Janiną z Kresów Wschodnich RP w roku 1940 do sowieckich łagrów, w których przebywała wraz z Matką (inwalidka, doznała obrażeń zimą roku 1941 w czasie ścinania drzewa w tajdze syberyjskiej) do 1946 r. Po powrocie do Polski w lutym 1946 roku, rozpoczęła pracę i naukę w szkole wieczorowej, gdyż musiała utrzymać chorą Matkę i siebie. W systemie nauki „zaocznej” ukończyła gimnazjum zdobywając techniczne wykształcenie w zakresie licencjatów w dziedzinie hotelarstwa i gastronomii oraz zarządzania.

Autorka książki pt. *Ociosani* wydanej przez Oficynę Wydawniczą – „Czytelnik” w roku 1989, która to książka zostaje umieszczona w Katalogu Translators Choice w 1999 roku. Frankfurt Book Fair.

W roku 1988-89 była współorganizatorem reaktywowania Związku Sybiraków, na terenie Dolnego Śląska. Jest autorką kilku *Informatorów* mówiących o martyrologii Narodu Polskiego na Wschodzie oraz kilku scenariuszy telewizyjnych filmów informacyjnych o Sybirakach. Bierze czynny udział w programie Urzędu Marszałkowskiego pt. „Lekcje żywej historii” odbywane w szkołach oraz na terenie Sanktuarium Golgoty Wschodu u Ojców Redemptorystów przy ulicy Wittiga nr 10 we Wrocławiu. Przygotowała też do druku książki pt.: „Odłączona od Macierzy – Warthegau nazwana” oraz „Oswobodzeni, czyli zniewoleni Kresowiaczy”, które są pogłosem zebranych opowieści Wielkopolan z okresu niemieckiej okupacji (1939-1945) oraz oficerów, żołnierzy, członków rodzin wojskowych i licznej grupy ludności cywilnej, przemierzających lub zamieszkujących Kresy Wschodnie od Karpat, Lwowa, Kołomyi, Wołynia, aż po Wilno. Na uwagę zasługuje moment opisywania przejściowego obozu w Szepietówce (obóz sowiecki), gdzie następowała selekcja żołnierzy przed wywiezieniem do obozów w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku.

Od kilku lat pełni funkcję rzecznika prasowego Związku Sybiraków – Oddział Wrocław.

